Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. No. 47. Leszno, dnia 21. Maja 1842.

O Tadeuszu Czackim.

(Dalszy ciąg.)

Zgłębił on i potwierdził myśli Czackiego, obszerne mu swoje zamiary rozwinął i zwierzył; skłonił mu ufność monarchy, i wyjednał upoważnienie do zbierania ofiar na zakładanie szkół polskich w trzech prowincyach, niegdyś wschodnich, dziś zachodnich (16); i szkoły wyższéj w Krzemieńcu. Wyobrazić trudno starań i zapału Czackiego w prośbach o dary, za otrzymane, choćby drobne, wdzięczność jakby osobistą, i pełną ufności śmiałość, pełen śmiałości pośpiech, w nabywaniu z ubogim jeszcze zasobem zamożnych zbiorów i ksiąg pozostałych po ostatnim z dawnych królów polskich. Zaufanie obywatelskie, nieograniczone ku sobie i chęciom jego, w jego możności i w okolicznościach widziało jednak granice. Rozszerzała je niezmordowana jego gorliwość, samą przeszkodą hartowna, i zjawienie się gymnazyum krzemienieckiego zostało tryśnieniem źródła z uderzonéj skały.

Nie czekając na wyjednane późniéj opieką kuratora szczodre uposażenie (17), dał od razu swéj budowie porządne, obszerne, i wyniosłym przeznaczeniom odpowiedne rozmiary. Opatrzony w jedném ręku księgą niewystarczających jeszcze ofiar obywatelskich, w drugiém księgą samych przywilejów rządowych, juz się Czacki gronem uczonych otoczył, już na czele młodzi krajowéj postępował śmiało, otwierał podwoje świątyni Pańskiéj, gdzie z głowy młodocianemi poważną schylając swą głowę, połączał głosy błagalne ku powszechnemu ojcu, którego Opatrzności swoje i kraju powierzał nadzieje.

Przezornie on plany swe kreślił, dzieło z tylu miar trudne, konieczne i nagłe, od góry poczynając. Głównéj szkoły postęp szybki dał pęd rzece, któréj błogie wylewy, przez liczne kanały szkół niższych, umysłową żyzność roznosząc, aż pod strzechę wieśniaczą dopływać już mogły. Spieszył więc, w tym płodnym zarodzie, korzystać ze względów rządowych; jakby wieszczym duchem niedowierzając ich trwaniu i życiu swojemu (18).

Zbyt prędko niestety! to smutne przeczucie sprawdzać się miało! Blaskiem czystego światła tłumiona, grzmiała już chmura, pociskiem brzemienna; jéj zbliżania się nikt nie widział; bo, któżby ją śmiał był przewidywać, bez obrazy ludzkości? kiedy, z pociechą ojców, z oklaskiem powszechnym, rozwijał Czacki pasmo, coraz dłuższe, planów zebranych i wschodzących nadziei, zawiść ukryta, na jawne dzieła chwały, czernidła potwarzy miotała. Tak niebaczna, jak obłudna, z uśmiechem nieludzkim, tuszyła sobie, że: w natłoku spraw ogromnego mocarstwa, i w oddaleniu oka rządzącego, to przedrzyźnienie gorliwości nabędzie pozoru prawdy, że obudzi choć chwilę wątpienia, że przynajmniéj pokój prawego męża zamieszać zdoła. Cichego sumienia ni groźby, ni gromy nie sięgną. O siebie spokojny stał Czacki. Ale, tak trudno ratować, jak łatwo zachwiać ledwo wzniesioną budowę, o którą jedynie drżał oskarżony, gdy, od niéj, od żony, od dzieci, od dzieci kraju porwany, odjeżdżał; jakby po karę, pod strażą podwojną: napaści i cnoty (19). Z pewnością przekonania, przed Alexandrem sprawiedliwym stanął Czacki niewinny, zrzekając się łaski Pana, wzywając surowości sędziego. Za pierwszym błyskiem prawdy, jak ptaki nocne, uleciały fałsze oskarżeń; a z wysokości, na jakiéj zajaśniał Niepokalany, wroga skrytego w głębi ciemności nie ścigał zemstą, któréj nie znał, nie unižył ku niemu spojrzenia, którego pogoda i mgły nie miała, splamionego imienia odkryć nie żądał i unikał. Powszechne domysły, pewne niemal dowody, nie mogły go przekonać, bo przekonanym być nie chciał; bo w sercu, miłością ludzi zajętém, nie było miejsca pogardzie; bo w nienasyconéj dobrych u-

---

(16) W guberniach wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj.

(17) Gymnazyum krzemienieckie otworzoném zostało r. 1805; a dopiero r. 1806 otrzymało na fundusz starostwo krzemienieckie.

(18) Pomimo zdrowia czerstwego, długiego życia nie wróżył sobie Czacki. W zaufaniu, mawiał o tém z niezwalczoném nawet przekonaniem, którego powodem była żywość jego uczuć, podniecona następującém zdarzeniem: Po rozbiorze kraju, czy snu, czy zadumienia złudzeniem, zdało mu się, jakby na jawie, że ujrzał zmarłego ojca, i słuchał jego zleceń, i téj przepowiedni: że Polska ożyje; lecz on jéj nie doczeka. W imaginacyi ognistéj, w sercu rozżalonem stratą ojca i ojczyzny, sen, w części sprawdzony, mimowolną obudził wiarę, którą to częściowe sprawdzenie wkorzeniło. Odtąd, w miarę jak w nim rosła nadzieja Polski, tak nikła ufność w życiu. Nie mniéj jednak wzdychał do téj nadziei, choć już nie swojéj! Owszem, ażeby siebie drugimi zastąpić, przyspieszał swe prace, które, głosem czy z nieba, czy z serca, miały zbliżać krajowi życie, a jemu zgon.

(19) Za radą niby osób rządowych, pojechał wolny do Charkowa, zkąd, z przydaną strażą, zawiezionym był do Petersburga.

czynków potrzebie, myślał zapewne, że, gdyby oskarzycielowi podadź rękę nadarzyła mu się przygoda; utajony, możeby ją przyjął; odkryty, wzdrygałby się na usługę ucznia Chrystusowego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kościół katedralny w Kolonii.

Przedstawiamy Czytelnikom w dzisiejszym numerze Przyjaciela ludu w dwóch obrazkach sławną katedrę w Kolonii (pierwszy wystawia ją, jaką jest, — drugi, jaką ma być, podług początkowego rysunku, przez budowniczego niewiadomego nazwiska wykonanego w r. 1248.) (*), na której wykończenie w całej się tworzą Europie towarzystwa, w celu obmyślenia funduszów potrzebnych. „Będąc w Kolonii, poszedłem naprzód widzieć to, za czém jedynie przyjechałem," mówi S. Witwicki w swych listach z zagranicy, „w czém dla mnie była i jest cała Kolonia,— poszedłem do katedry. Byłem pewny, że dość będzie z najpierwszego placu obejrzeć się i powieźć okiem w górę, żeby ją natychmiast ujrzeć i wiedzieć gdzie się skierować. Oglądam się, przypatruję; widzę dachy kamienic i kamieniczek, widzę ze strychów to siano, to porozwieszaną do suszenia bieliznę; — przechodzę na drugi jakiś placik... to samo! Chybaż nie jestem w Kolonii? Wstyd mię brał zapytać się. Myślę sobie, chodzić śród białego dnia po Kolonii i pytać się o katedrę, to będzie tak dziwnie, jakby chodząc po jakim pokoju pytać się, gdzie jest okno. Koniec końców przeszedłszy jeszcze darmo kilka ulic krętych, błotnistych, musiałem jak nie pyszny wziąść po prostu przewodnika. Przyznam ci się, że dochodząc zdjął mię trochę strach o moją kochankę strasburską; po dawnéj, tak serdecznéj znajomości, radbym był, żeby zawsze u mnie miała pierwszeństwo, a bałem się porównania. Doszedłem; zobaczyłem. Cofnąłem się, prawda, jakby mię kto potężnie w skronie i piersi uderzył... lecz wytrzymawszy pierwszy moment, krzyknąłem w sobie: górą Strasburg!

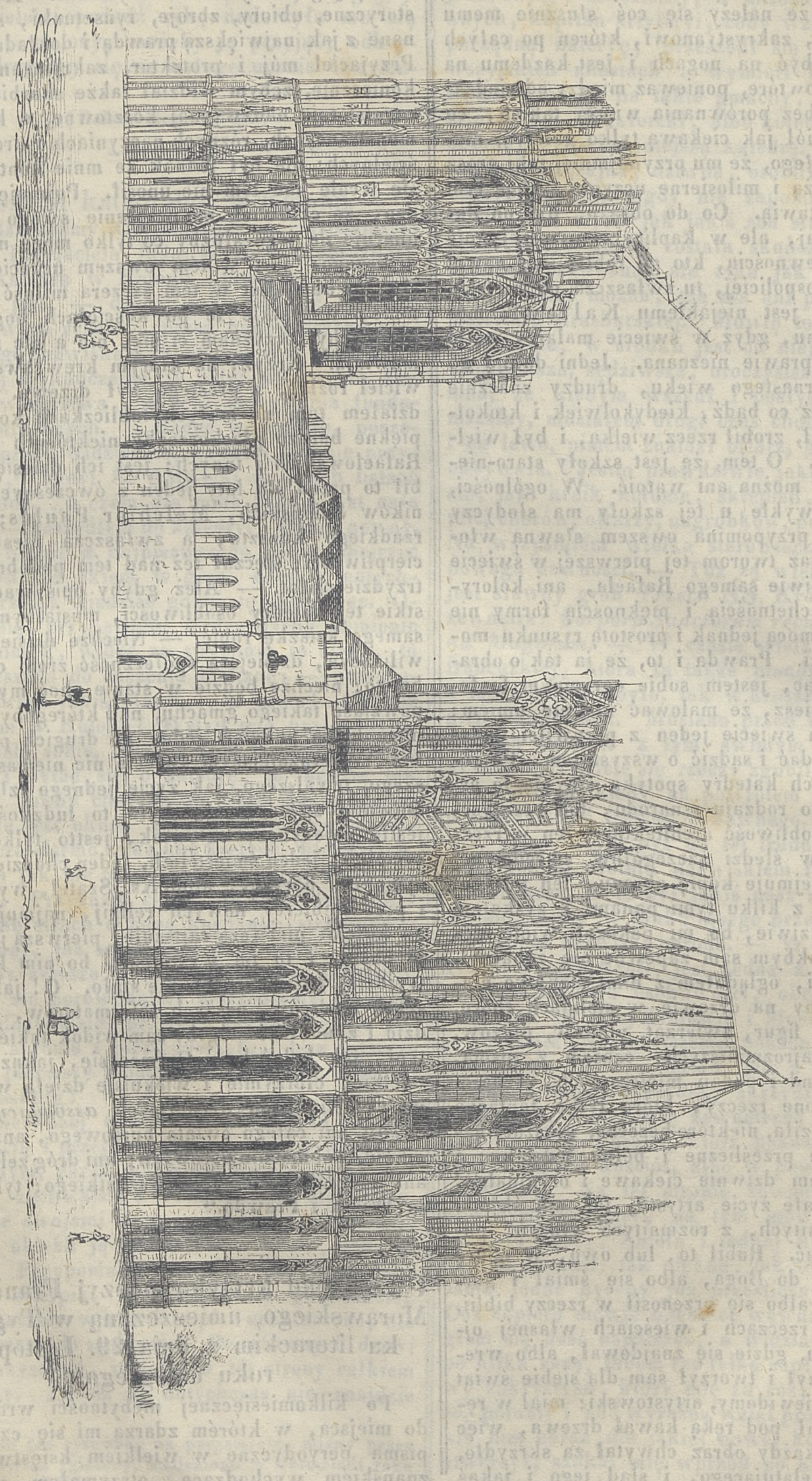
Po pierwszéj chwili uniesienia nad dziwną okazałością i przepychem odwiecznéj i wsławionéj świątyni, zaraz mię złość wzięła na to niegodziwe zuchwalstwo i nieczułość ludzisków, którzy ze swojemi domy, domki, i rozmaitemi budynki obleźli ją i obsiedli w około, jak robactwo. Przypomniało mi się, com już z tego powodu ucierpiał w Frankforcie gdzieindziéj. Tutaj znacznie wprawdzie plac oczyszczono, ale wiele jeszcze do zrobienia. Do głównych drzwi ledwo przystąpić, widok od téj strony całkiem zamknięty. Że też się dotychczas nie znajdzie jaki zacny, miłosierny, i miłośnik sztuk pięknych, kapitan artyleryi, coby wziąwszy z sobą porządną bateryę, przeszedł się raz po tych wszystkich miastach i wymiótł jak należy te klitki włażące na takie gmachy, na takie kościoły, jak frankforcki, albo koloński! — Znasz dobrze z rysunku tutejszą katedrę. Prawda, że jest nadzwyczajna, dziwna, osobliwa; kto ją zobaczył, pewno nigdy nie zapomni; będzie ją miał przed myślą jak jakiś sen strojny, lecący, promienisty; gdyby została skończona, możeby była nieporównana, ale taka jak jest, jak ją dziś widzieć można, nie ma ani piękności, ani majestatu strasburskiéj. Mówię to o zewnętrzu. Przeciwnie, w środku jest od niéj potężniejsza, wspanialsza, sędziwsza, uroczystsza. Tak ogromna, że kiedym wszedł i posłyszał dzwonek mszalny, musiałem długi czas chodzić na prawo i na lewo, nimem znalazł ołtarz, gdzie się msza odbywała. Jestto prawdziwie jakby jakie miasto, jaki kraik kolumn, sklepień, framug, kaplic, chorów, ołtarzy, nagrobków, posągów, i t. d. Na wszystkiém wielka starowieczność, wielka powaga dawności. — Tuż za wielkim ołtarzem jest sławny grób *Trzech ŚŚ. Króli*, z napisem zewnątrz: *Corpora Sanctorum recubent hic terna Magorum.* — W czasie wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, która tu także plondrowała, dużo z tąd bogactw ubyło, tak w kruszcach, jak drogich kamieniach. Musiano przed łupieżą i profanacyą uciekać z tym świętym skarbem do Westfalii, i wiele się rzeczy zgubiło, lub zepsuło. Późniéj, kiedy za powrotem chciano znów przyprowadzić trumnę do dawnego, ile było można, stanu, użyty był do téj trudnéj i kunsztownéj roboty złotnik nazwiskiem Polak. Być bardzo może, iż to był jakiś nasz rodak, nie famiiant, który w braku innego przezwiska przybrał sobie nazwisko narodu. — W ołtarzu, obok grobu *Trzech Króli*, jest jedna z wielkich tutejszego kościoła osobliwości, obraz wystawiający, jak ciż trzej Królowie i Mędrcy ŚŚ. oddają Dzieciątku Najświętszemu pokłon i dary. Malowany na drzewie, składa się z trzech części, środka i dwóch skrzydeł; skrzydła zwykle są zamknięte, i stanowią zewnętrzną swoją stroną zasłonę całego obrazu, który pokazują tylko dla zwiedzających kościół, albo w pewne czasy nabożeństwa. Na téj stronie zewnętrznéj dwóch złożonych skrzydeł, na tym mówię pokrowcu, są dwie figury, Anioła i jednéj Świętéj, podobno Ś. Urszuli, tak piękne, tak uderzające, że same jedne byłyby już prześlicznym obrazem. Cóż dopiero mówić o tém, co wewnątrz! Nie mogłem się dość napatrzeć, a widziałem co dzień po kilka razy, lubom raz tylko zapłacił. Poczciwy zakrystyan, który mię za coś, nie wiem za co, polubił i pod wyraźną wziął protekcyą, zwykle nim obraz dla jakiéj nowéj kompanii gości otworzył, szukał mię wprzód po kościele, kluczami na mnie dzwonił, żebym szedł także oglą-

(*) Plan ten rysowany na pargaminie, miany przez tyle wieków za zginiony, znaleziono w Darmstadt roku 1814., a w r. 1816 w Paryżu.

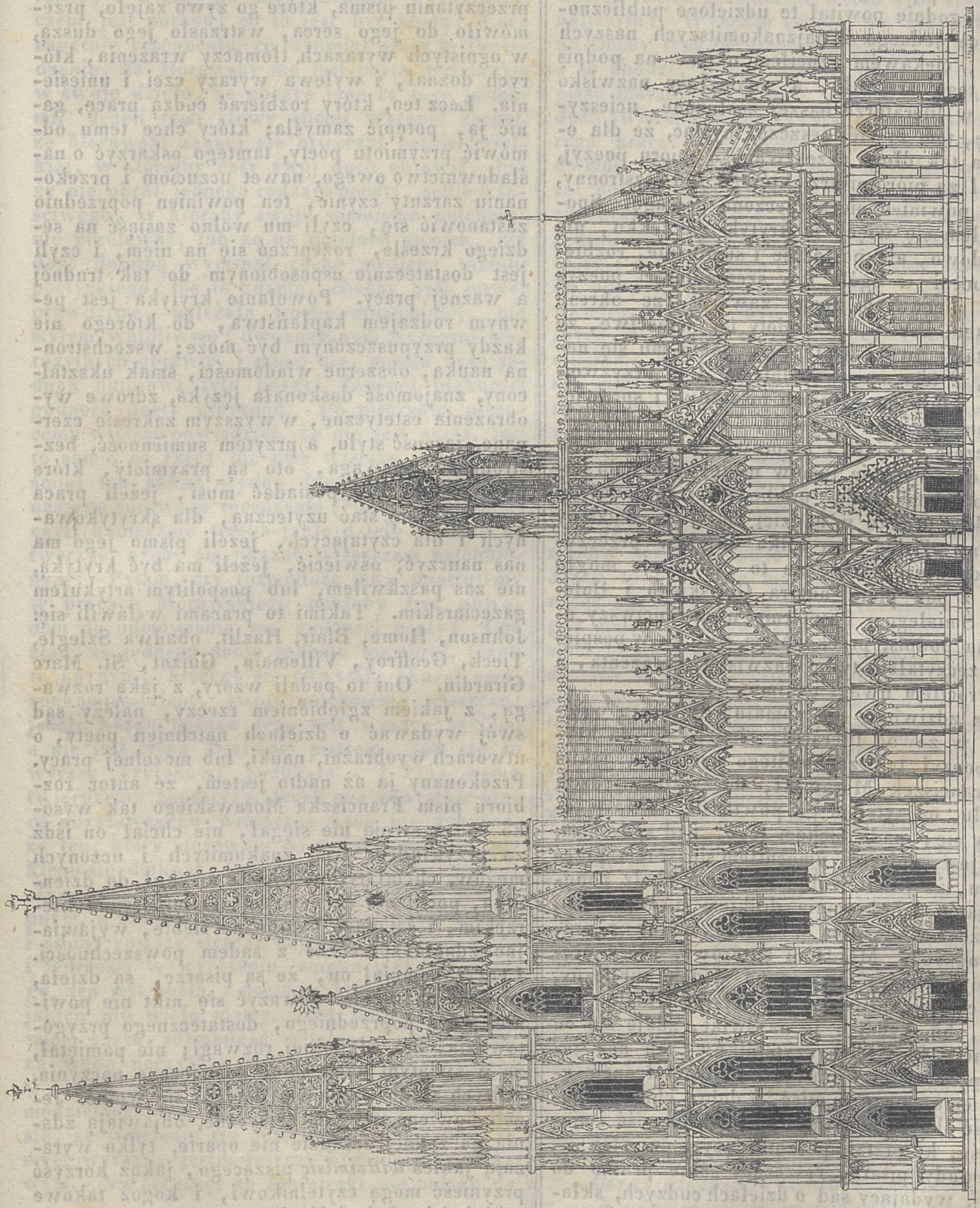
dać, nic już nie płacąc. Ta opłata razić może kogo, jednakże należy się coś słusznie memu przyjacielowi, zakrystyanowi, któren po całych dniach musi być na nogach i jest każdemu na zawołanie; powtóre, ponieważ między odwiedzaczami bywa bez porównania więcéj takich, co opatrują kościół jak ciekawą tylko galeryą, niema tedy nic złego, że mu przynajmniéj jaki grosz na służbę Bożą i miłosierne uczynki, choć tym sposobem zostawią. Co do obrazu, był on dawniéj nie tutaj, ale w kaplicy ratuszowéj; nie wiadomo z pewnością, kto go robił, ani nawet kiedy. Najpospoliciéj, tu zwłaszcza na miejscu, przypisywany jest niejakiemu Kalfowi; mówię niejakiemu, gdyż w świecie malarzy jestto figura wcale prawie nieznana. Jedni datują go z końca czternastego wieku, drudzy znacznie późniéj. Bądź co bądź, kiedykolwiek i ktokolwiek to zrobił, zrobił rzecz wielką, i był wielkim malarzem. O tém, że jest szkoły staro-niemieckiéj, nie można ani wątpić. W ogólności, więcéj niż zwykle u téj szkoły ma słodyczy i miękkości; przypomina owszem sławną włoską. A chociaż tworom téj pierwszéj w świecie szkoły, osobliwie samego Rafaela, ani kolorytem, ani szlachetnością i pięknością formy nie dorównywa; mocą jednak i prostotą rysunku może i przechodzi. Prawda i to, że ja tak o obrazach wyrokując, jestem sobie ogromnym fanfaronem, bo wiesz, że malować nic nie umiem; ależ na całym świecie jeden z przywilei wojażerów jest gadać i sądzić o wszystkiem. Po różnych miejscach katedry spotyka się ciągle artystów różnego rodzaju i narodu, ten przerysowuje jakąś osobliwość architektury, ten w rzeźbie nagrobków śledzi szczegółów starodawnéj zbroi, ten zdejmuje kopię obrazu, ten posągu. Poznałem się z kilku tymi panami i zyskałem na tem prawdziwie, bo mi pokazali wiele rzeczy, i tak, jakbym sam zapewne nie zobaczył. Między innemi, oglądałem z nimi ciekawe niezmiernie rzeźby na drzewie w stolniach chóru. Tysiące grup, figur, zwierząt, ptaków, płazów, i kształtów najrozmaitszych; czasem z pisma, czasem z legend i podań miejscowych, czasem zaś niestworzone rzeczy, które tylko fantazya robotnika płodziła, niektóre bezecne, gorszące nawet; niektóre prześliczne i pełne wdzięku; a wszystko razem dziwnie ciekawe i oryginalne! Jest w tém całe życie artysty, jak się składa z chwil rozmaitych, z rozmaitych wrażeń, pomysłów i uczuć. Robił to, lub owo, w miarę jak się modlił do Boga, albo się śmiał i gorszył z ludzi, albo się przenosił w rzeczy biblii, albo dumał o rzeczach i wieściach własnéj ojczyzny i kraju, gdzie się znajdował, albo wreszcie jak marzył i tworzył sam dla siebie świat jakiś senny, niewidomy, artystowski; miał w ręku dłóto, miał pod ręką kawał drzewa, więc każdą myśl, każdy obraz chwytał za skrzydło, jak ptaka przelatującego, i ślad jego i jakąś formę jego natychmiast wyciskał. Rzeczy historyczne, ubiory, zbroje, rynsztunki, są wykonane z jak największą prawdą i dokładnością. — Przyjaciel mój i protektor, zakrystyan, chciał koniecznie, żebym widział także skarbiec. Rzeczy istotnie nadzwyczaj kosztowne, w krzyżach, monstrancyach, różnych naczyniach i strojach kościelnych; nie był jednak ze mnie kontent, bom się wcale nad tem nie unosił. Pojmuję ja bardzo, że człowiek na uczczenie swego Stwórcy ofiaruje do jego służby co tylko może mieć najdroższego; jest w tém owszem uczucie wzniosłe, piękne, jest w tém szczera miłość; ale do mnie, wszystkie te po kościołach bogactwa i przepychy, przyznam ci się, nic a nic nie przemawiają. Krzyż, na którym krew swoją Zbawiciel rozlał, z prostego był drzewa. — Widziałem tam na małych tabliczkach kościanych piękne bardzo płaskorzeźby niektórych obrazów Rafaelowskich i innych; jest ich dziesięć. Robił to przed stu laty jeden z ówczesnych kanoników kolońskich, Melchior Paulus; dzieło rzadkiego kunsztu, a zwłaszcza niesłychanéj cierpliwości; ślęczał też nad tém podobno przez trzydzieści lat. — Ależ gdyby opisywać wszystkie téj katedry osobliwości, musiałbym z tego samego książkę robić. — Niechże dzisiejsza cywilizacya, dzisiejsza spółeczność zrobi co podobnego; niechże będzie w stanie choć myśl tylko powziąć takiego gmachu, nad któregoby stawianiem kilka pokoleń jedne po drugich pracowało! W teraźniejszym świecie nic niemasz dłuższego, trwalszego, jak życie jednego człowieka. Dawniéj spółeczność, była to ludzkość, dziś jestto pojedynczy człowiek, jestto tylko jeden samolub, jeden śmiertelnik, jeden chodzień. Sęsymoniści paryzcy, albo Ks. Szatel, wynalazcy i przedsiębiercy nowych religij, najmują sobie na kościół pierwszą rajtszulę, pierwszą jaką salę pustą, i to im wystarcza, bo nim komorne wyjdzie, już wiernych nie stało. O! jakże naszych mędrców, naszych reformatorów, zawstydzić i zbudować mógłby sam widok takiéj świątyni, jak kolońska. Czémże się, jakąż siłą te wielkie, olbrzymie i wiekuiste dzieła wykonywały? Nie było dzisiejszych *assocyacyj*, ani *akcyj*, ani całego świata bursowego, ani dzienników, ani machin parowych, ani dróg żelaznych, ani telegrafów, nic tego wszystkiego; tylko była Wiara i Prawda.“

Uwagi nad krytyką poezyj Franciszka Morawskiego, umieszczoną w Tygodniku literackim z dnia 29. Listopada roku ubiegłego.

Po kilkomiesięcznéj niebytności wróciwszy do miejsca, w którém zdarza mi się czytywać pisma peryodyczne w wielkiém księstwie poznańskiém wychodzące, otrzymałem w tych



Widok Tumu w Kolonii.



Widok Tumu w Kolonii, podług planu pierwszego Budowniczego 1248.

dniach numera Listopadowe Tygodnika literackiego, a w jednym z nich, napadłem pod rubryką *Przeglądu pism*, na recenzyą poezyj Franciszka Morawskiego. Uradowany, iż przecież odezwał się głos jeden, który, jak się spodziewałem, godnie powitał te udzielone publiczności prace jednego z najznakomitszych naszych poetów, ciekawém rzuciłem okiem na podpis autora tego artykułu, a znalazłszy nazwisko dobrze w literaturze naszéj zasłużone, ucieszyłem się, tém żywiéj jeszcze, myśląc, że dla ocenienia tak długo oczekiwanego zbioru poezyj, chwycił za pióro pisarz, którego sąd bezstronny, miećby powinien niezaprzeczoną powagę. Spodziewałem się więc, iż krytyk nie lekko, nie podjazdowo, ale poważnie i sumiennie, rozbierze i oceni w ogóle i w szczególności poezye w tym pierwszym tomie zawarte, że określi charakter, barwę, przymioty im właściwe, że przedstawi uwagi krytyczne, jakie mu się nasunęły, z tém umiarkowaniem, z tą przyzwoitością, które poważnemu pisarzowi i sprawiedliwemu sędziemu przystoją, i że oddawszy należną cześć i dziełu i autorowi, wezwie go do spiesznego wydania tomów następnych i do zupełnego uspokojenia publiczności narodowéj. Ale jakże prędko w nadziei mojéj zawiedziony zostałem. Zaledwiem kilka okresów przeczytał, poznałem zaraz, że to pismo nie mogło wyjść z pod pióra autora Glińskiego i Bolesława Śmiałego. Powtórnie więc rzuciwszy okiem na podpis, przekonałem się, że w pośpiechu przeczytałem tylko nazwisko recenzenta, a nie zwróciłem uwagi na imię.

Acz zdziwiony nie pomału, że pisarz wstępujący w zawód literacki, ośmielił się na krytykę poezyj tak znakomitego wieszcza, jakim jest Franciszek Morawski, doczytałem jednak artykułu, odczytałem go powtórnie, a zastanowiwszy się, nad duchem jego, nad sposobem, jakim jest napisany, umocniłem się w tém przekonaniu, że jeżeli wolno każdemu uledz popędcie pisania i ogłaszania drukiem pism swoich, nie każdemu przystoi wydawać wyrok o pracach cudzych. Młodemu autorowi, który próby swojego pióra puszcza na widok publiczny, przebacza się łatwo i złe wiersze, i nudne powieści, bo wydając je na świat, zdaje się on wzywać sądu swoich czytelników, bo acz jeszcze przy braku wprawy, i nieukształconém usposobieniu, może on mieć, i dobre chęci, i powolność dla rad zdrowych, i tę skromność i nieśmiałość, która tak początkującym przystoi. — Lecz młody pisarz, roszczący sobie prawo do krytyki, wydający sąd o dziełach cudzych, składa dowód wielkiego w sobie zaufania, i upoważnia nas, do wymagania od niego, ażeby był dobrym pisarzem, kiedy odważa się, zostać krytykiem.

Zdradliwą więc, niebezpieczną jest chętka, ogłaszania zdań swoich o cudzych pracach; każdy, który się w ten zawód puszcza, wielką bierze na siebie odpowiedzialność, bo o dziele myśli ludzkiéj, nie wolno, nie godzi się porywczo i lekkomyślnie sądzić. Pojmuję jeszcze, chwalę nawet, kiedy młodzieniec, po przeczytaniu pisma, które go żywo zajęło, przemówiło do jego serca, wstrząsło jego duszą, w ognistych wyrazach tłómaczy wrażenia, których doznał, i wylewa wyrazy czci i uniesienia. Lecz ten, który rozbierać cudzą pracę, ganić ją, potępić zamyśla; który chce temu odmówić przymiotu poety, tamtego oskarzyć o naśladownictwo owego, nawet uczuciom i przekonaniu zarzuty czynić, ten powinien poprzednio zastanowić się, czyli mu wolno zasiąść na sędziego krześle, rozeprzeć się na niém, i czyli jest dostatecznie usposobionym do tak trudnéj a ważnéj pracy. Powołanie krytyka jest pewnym rodzajem kapłaństwa, do którego nie każdy przypuszczonym być może; wszechstronna nauka, obszerne wiadomości, smak ukształcony, znajomość doskonała języka, zdrowe wyobrażenia estetyczne, w wyższym zakresie czerpane, jasność stylu, a przytém sumienność, bezstronność, powaga, oto są przymioty, które pisarz krytyczny posiadać musi, jeżeli praca jego, ma się stać użyteczną, dla skrytykowanych i dla czytających, jeżeli pismo jego ma nas nauczyć, oświecić, jeżeli ma być krytyką, nie zaś paszkwilem, lub pospolitym artykułem gazeciarskim. Takimi to pracami wsławili się: Johnson, Home, Blair, Hazlit, obadwa Szlegle, Tieck, Geoffroy, Villemain, Guizot, St. Marc Girardin. Oni to podali wzory, z jaką rozwagą, z jakiém zgłębieniem rzeczy, należy sąd swój wydawać o dziełach natchnień poety, o utworach wyobraźni, nauki, lub mozolnéj pracy. Przekonany ja aż nadto jestem, że autor rozbioru pism Franciszka Morawskiego tak wysoko żądzą swoją nie sięgał, nie chciał on iśdź za przykładem tych znakomitych i uczonych mężów, chciał tylko skreślić artykuł do dziennika, pochlebić dzisiejszym namiętnościom literackim, i ściągnąć uwagę na siebie, wyjawiając zdanie sprzeczne z sądem powszechności. Lecz zapomniał on, że są pisarze, są dzieła, na których rozbiór odważyć się nikt nie powinien, bez poprzedniego, dostatecznego przygotowania, bez głębokiéj rozwagi; nie pamiętał, że w świątyni nauk są te poświęcone naczynia, których tylko kapłanom dotykać się wolno. Jeżeli bowiem artykuły krytyczne, objawiają zdania na żadnéj zasadzie nie oparte, tylko wyrażają jakieś *widzimisię* piszącego, jakąż korzyść przynieść mogą czytelnikowi, i kogoż takowe *widzimisię* obchodzić albo zająć może. Te mi się krótkie nasunęły uwagi po przeczytaniu rozbioru pism Franciszka Morawskiego. Autor jego zaczyna naprzód, od łaskawego przyznania Morawskiemu i wielkiéj zręczności, i zdolności znakomitéj; lecz z góry wydaje wyrok, że Mo-

rawski poetą nie jest; i ten wyrok usprawiedliwia tém jasném i zrozumiałém twierdzeniem, *że poezye jego są jego pismami.* Nie chcę daleko zapuszczać się w badania tylekroć powtarzane, i które już ten przedmiot wyczerpały, czém jest poezya? co to jest być poetą? Lecz zapytuję recenzenta, co rozumiał przez to twierdzenie, że Morawski nie jest poetą wcielonym w swoje dzieło, że poezye jego są jego pismami. Jeżeli temi słowy chciał wyrazić zarzut, że Morawski żadnéj nie utworzył całości wielkiéj, w któréjby cały swój duch objawił, lub że nie obrał jednego rodzaju poezyi, sobie właściwego, w którąby swoje samoistne natchnienie przelewał, lub że na dziełach swoich, nie dość dobitną wycisnął cechę swojego talentu poetyckiego, toć to zdanie, choćby było nawet prawdziwe, należało troche zrozumialéj, nie stylem wątpliwym i dwuznacznym wyroczni starożytnych objawić, i mimo nie, można było jednak autorowi tylu poezyj dziwnéj piękności godność poety przyznać. Bo pisarzowi piszącemu wiersze powiedzieć, że nie jest poetą, jest to samo, co rzec: nie pisz wierszy. A któżby śmiał ten zakaz wydać Morawskiemu oprócz naszego surowego recenzenta (*). Lecz pytam: czyli koniecznie trzeba jakie dzieło wielkie utworzyć, ażeby się okazać wieszczem natchnionym? Pytam, czy rozmaitość jaką upatrujemy w pracach Morawskiego miałaby być powodem do odmówienia mu godności poety? Cóż ztąd, że jednego sobie rodzaju nie obrał, jeżeli w każdym, którego się chwycił, okazał swój znakomity talent, swoje natchnienie wieszcza; jeżeli każda poezya jego jest wrząca życiem, a nie jest tylko martwém pismem, jak się to wyrzec krytykowi podobało. I któż memu twierdzeniu zaprzeczy, jeżeli zna wszystkie prace obżałowanego wieszcza; któż nie przyzna, że ten, który stósownie do rodzaju poezyi, jakiego się dotknął, umie być szczytnym i wzniosłym, czułym i rzewnym, wesołym i dowcipnym, a zawsze wyraża czucie lub myśl męzką i silną; zawsze strzeże czystości języka, mocy i jędrności w wyrażeniu, smaku wykształconego, ten jest poetą, i poetą znakomitym, i takim, jakich nie wielu mamy. Od jakiegoż to bowiem czasu, rozmaitość w talencie poetycznym, za wadę poczytaną została. Zarzucać Morawskiemu, że nie objawia dostatecznie ducha samodzielnego w swoich poezyach, gdyż zdaje mi się, że wcielenie się autora w swoje dzieło, tę myśl wyraża, jestto jeszcze być niesprawiedliwym. Nie przeczę, że Morawski nie należy do liczby tych nadzwyczajnych gieniuszów, którzy wiekowi, w którym żyją, imię swoje nadają; którzy są jak te niebieskie meteory, rzadko kiedy wśród miliona gwiazd zjawiające się. Ale wieleż takich gieniuszów wśród tylu tysięcy lat naliczym? Wyznaję także, że nie należy on do liczby tych oryginalnych pisarzy, którym nie o to chodzi, ażeby dobrze pisać, lecz ażeby pisać inaczéj od innych. Mimo to śmiało jednak twierdzić mogę, że jest poetą, i poetą, którego prace mają swoję właściwą barwę. Co do mnie, wiérsz Morawskiego wszędziebym zdołał poznać, nie tylko dla jego zewnętrznéj doskonałéj formy; ale wszędziebym odgadł jego jędrną myśl, żywość jego wyobraźni, szlachetność i tkliwość jego czucia. I któż śmieć może odmówić ducha poetycznego temu, kto tak wybornym umiał być malarzem czasów zbiegłych w wizycie w sąsiedztwo, i w panu Gadulskim; kto tyle czucia przelał, w opowiadanie szlachetnego czynu Giermka; kto tak silną rozwinął wyobraźnię w Bogarodzicy, w odzie do myśli, w odzie na powrót zwłok Napoleona, i w kolei żelaznéj; kto nakoniec zdołał w wiejską, w rodzinną, ale w czystą, w niesplugawioną szatę odziać niektóre podania gminne. Jednak nasz recenzent odmawia mu przymiotów poety, a zowie go diletantem literackim. Jeżeli to nazwanie ma znaczyć, że Morawski nigdy poezyi nie zamienił w rzemiosło, że nigdy natchnienia swojego nie sprzedał, że nie spiesząc się z wydaniem prac swoich, i nie mnożąc ich z nadzwyczajną szybkością, nie chciał nigdy szturmem dobić się nieśmiertelności, i wolał zawsze wybornie pisać jak spiesznie, i że nakoniec korzyść z pierwszego zbioru pism swoich poświęcił na cel prawdziwie obywatelski, prawdziwie polski, to i ja wyznaję, że Franciszek Morawski, jest tylko diletantem literackim. Daléj recenzent wymienia główniejsze poezye w tym pierwszym tomie zawarte, i o każdéj sąd swój ogłasza. Oddać mu jednak trzeba tę sprawiedliwość, że nie wszystko w Morawskim gani. Są poezye, które mu się przecież podobały, są nawet takie, które za jaśniejące samodzielną pięknością uznaje. Giermka jednak między pośledniejsze prace zalicza, a przecież biada temu, kto nie obejmie sercem całego czucia głębokiego, w tym śpiewie historycznym zawartego, kto nie pojmie myśli jego, kto nie pamięta tych ostatnich czterech wierszy:

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem,
A wieszcz w duchach śledził, badał,
Co w nich swojém wzbudził pieniem.

Dziwno mi, że recenzent zdaje się wyznawać, że wieszcz nic w nim swojém pieniem nie wzbudził. W wierszu do księżnéj Czartoryskiéj, upatruje on więcéj litości dla łzy księżny (którą tą damą nazywa) jak dla niedoli

(*) Wiem ja, że sam recenzent w dalszym ciągu artykułu wzywa Morawskiego do udzielenia dalszego czytelnikowi poezyj takich, jak wizyta; lecz w tém właśnie zdaje się zachodzić sprzeczność w jego zdaniu, gdyż jeżeli Morawski nie jest poetą, po co chcieć mnożyć u nas dzieła niepoetyczne, których, dzięki niebu! aż za nadto już mamy.

niewidomego. Nie pojmuję ja najprzód, jak można autorowi jako winę wyrzucać, iż wychwalał czystość łzy litości księżnéj Izabelli; mógł wieszcz oddać jéj to świadectwo, nie przez samą wytworność i uprzejmość salonową, bo to świadectwo stwierdzonémby było przez tysiące sierót i nędzarzy, które znajdowały wsparcie i przytułek w progach téj dostojnéj i znakomitéj Polki. Znam ja nienawiść wielu dzisiejszych ludzi do całéj przeszłości; wiem, jak oni cenią zasługi i powagi dawne, ale nie wiedziałem, że podług nich, głosić cnoty z przeszłych czasów, takie nawet, jakiemi są: litość, dobroczynność i wspaniałość, jest tylko dworskością i wytwornością salonową. Lecz nie tylko nad łzą księżnéj Izabelli wzbudza poeta uczucie tkliwe w sercu czytelnika. Mówiąc o gwiazdach duszy niewidomego (tak poeta zowie oczy), dodaje on:

O z jakąż żądzą każdy promień piły,
Nim się tą czarną ślepotą zawarły,
Raz jeszcze ziemię i niebo zmierzyły,
I patrząc w Matkę, zamarły!

I w jakiémże sercu ta strofa nie obudzi litości, któż, oprócz może naszego krytyka, nie pojmie całéj delikatności czucia w tych czterech wierszach zawartéj.

Nie chcę ja być posądzonym o zawziętość i niechęć przeciw autorowi artykułu, o którym rzecz czynim, i dla tego, nie będę tu powtarzał i zbijał wszystkich zdań jego.

Nie potrzebował także krytyk przypominać naszemu wieszczowi, że są ludzie, którzy krwawemi łzami piszą. Wiele łez takich znalazł czytelnik w poezyach Morawskiego, łez szczerych, nie kłamliwych, które serce zbolałe wylewa tylko w samotności i w ukryciu przed ludźmi. Nakoniec dotknąć muszę najdziwniejszéj części recenzyi, w któréj autor jéj powiada: „Ze zezwala na oddanie Morawskiemu części „winnéj, dla powodów, które wymienia, i w na„grodę biegłego naśladownictwa Tadeusza i Ja„nusza, których sobie autor przybrał za ojców „chrzestnych, nie będąc, z woli przeznaczeń, „ani ich poprzednikiem, ani rówiennikiem, ani „dziecięciem.“ Nikomu zapewne do myśli jeszcze nie przyszło, ażeby Morawskiego ogłosić za syna chrzestnego Tadeusza, Janusza, tak jak nikt nie mógł przewidzieć, ażeby surowy recenzent ośmielił się na krytykę dzieł Morawskiego. Wysoka wartość pana Tadeusza, zalety Janusza pieśni, a szczególniéj przygód i podróży pana Winnickiego, są niezaprzeczone, lecz nie mają nic wspólnego z témi, które odznaczają prace Morawskiego, w tymże rodzaju przedsięwzięte. Twierdzenie tak szczególne, dałoby może prawo do mniemania, że jak recenzent zdaje się wysoko cenić samodzielność i oryginalność w pisarzach, tak się starał zostać samodzielnym i oryginalnym krytykiem.

Zbyt się może rozciągnąłem z uwagami nad pismem naszego ostrego recenzenta, winienem nawet może przeprosić śpiewaka Giermka i pana Wojskiego, że wzniosłem głos w obronie pism jego, któréj one wcale nie potrzebują. Lecz jedna okoliczność zajęła myśl moję, i do wygotowania téj odpowiedzi skłoniła. Okoliczność, która każdego bezstronnego i szczerego miłośnika literatury i nauk ojczystych, smutkiemby przejąć powinna. Po długiém oczekiwaniu publiczności wychodzi na świat zbiór poezyj jednego z najwyborniejszych naszych pisarzy. Zbiór, który stanie się chlubą i ozdobą naszéj poezyi, a jednak żaden głos poważny nie odzywa się, aby go uczcić należną pochwałą, aby okazać i rozebrać jego istotną wartość, określić charakter jego, nadmienić o błędach i wadach, jeżeli się w nim jakie znajdują. Wyjście na świat tak pięknego dzieła, nie jest uważane, jak pomyślny, i zbawiennny wypadek literacki. Ci, którzy mają zdrowe wyobrażenia estetyczne, którzy posiadają prawdziwe czucie piękności i sztuki, ci, którzy mogą sądzić i umieją pisać, milczą; i jakże się dziwić, że wśród tego milczenia, nasz recenzent występuje z sądem swoim, który sam, swojém *widzimisię* nazwał.

Przebóg! jakichże to dożyliśmy czasów; czasów teroryzmu literackiego, w których nikt nie śmie mówić, co czuje, a niezawodnie mało kto czuć to może, co dziś mówi.

Do następnego artykułu odkładając szczegółowy rozbiór Poezyi Franciszka Morawskiego, w którym nie przywłaszczając sobie praw krytyka, zwierzymy się otwarcie z wrażeń, jakich doznaliśmy przy ich czytaniu, wyrazimy tu tylko nadzieję, że ani milczenie prawdziwych znawców, a tém mniéj krytyki podobne do téj, z którą recenzent tygodnikowy wystąpił, nie zrażą Franciszka Morawskiego od spiesznego wydania następnego tomu. Jeżeli kiedy, to teraz wzory takie, jakie on podaje, są użyteczne, są konieczne, stają się one bowiem najlepszą krytyką tych wszystkich pism, jednych miernych, drugich potwornych, które się tak zagęściły u nas, a dla których recenzent Morawskiego, byłby zapewne szczodry w hymnach pochwalnych, tak jak Morawskiemu nie szczędził ostréj krytyki. Ja kończąc niniejsze pismo, tę tylko jeszcze uwagę dodam, że jak są krytycy, którzy stanowić mogą o wartości dzieła; tak są dzieła, o których sąd wyrzeczony daje miarę wartości krytyków.

W Dobrzechowie pod Rzeszowem, dnia 28. Kwietnia 1842 r.

A. E. K.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)